



Gazeta Obozu Laudera

Lauder Camp Magazine • Wisła 5770/2010

Pobyt w Wiśle zobowiązuje, przede wszystkim do tego, by poznać nieco region, w którym jesteśmy. Dlatego proponujemy...

...LEGENDE O WISLE

Dawno temu pobliskimi górami rządził mądry i sprawiedliwy król Beskid, jego żona Borana panowała nad okolicznymi borami. Gdy stary władca zmarł, Borana wezwała swe dzieci, by podzieliły się władzą. Najstarszy syn, Lan, miał opiekować się polami i łąkami. Córki, Czarnocha i Białka, miały rozprowadzać wodę z górskich strumieni po polach i łąkach Lana.

Wkrótce potem obie siostry udały się w stronę podnóża gór, by sobie popływać. Nagle zabawę zepsuła im skała, pod którą czekał rycerz Czantor. Gdy ujrział piękne siostry, poprosił, by u niego zostały. Siostronom spodobała się kraina Czantora. Postanowiły więc tu pozostać. Jednak Ziemia rozkazała mu przepuścić córki Beskida przez skały, by poniosły wody dalej, ku północy.

- Nie mogę pozwolić, byście obie płynęły w obce strony. Wyślijcie zatem jedną falę na zwiady – poradził.



Czantor rozsunał skały i pierwsza fala wyszła przez nie onieśmielona, niepewna, co ją czeka. „Wyszła” – bo tak nazwały tę falę powstałą z połączonych wód – wypłynęła przez skalną szczelinę. Mijała bory, zagajniki, pola i łąki. Wtem, gdy mijała skałę wawelską, wyskoczył ku niej smok zięjący ogniem. Przestraszona, bryznęła mu w oczy pianą wodną. Zasyczało, zadymiło i oślepiony smok skrył się na chwilę w pieczarze. Gdy wyjrzał, Wyszła była już daleko. Płynęła dalej, aby jak najwięcej pól zrosić wodą. Przyłączały się do niej mniejsze strumienie i rzeczki. Płynęła coraz wolniej, coraz szerzej rozlewała swe wody, zmęczone długą drogą, aż nagle poczuła

dziwny słony smak. Nad sobą miała szare niebo, przed sobą morze. Wyszła, pierwsza fala wysłana z dalekich gór Beskidu, połączyła się z falami morskimi.

Czarnocha i Białka na próżno czekały jej powrotu. Na próżno wysyłały za nią jedną falę po drugiej. Z tych fal powstała wielka rzeka, już nie „Wyszła”, a Wisła, od której obie siostry przezwano Czarną i Białą Wisetką.

Na podst. tekstu Hanny Zdzitowieckiej



CHAŁKA, ŻE AŻ PALCE LIZAĆ

Niejako przypadkiem trafiłem na zajęcia grupy najmłodszej, przyznajmy, że niezbyt licznej, bo wszystkie dzieci dałoby się policzyć na palcach jednej ręki – dosłownie. Ale to nieważne, bo zaangażowania dzieci tylko można pozazdrościć. Dla mnie, pana w mocno średnim wieku, to naprawdę budujące przeżycie.

Przy stole pięcioro dzieci, odzianych w foliowe niebieskie fartuszki. (Nie wiem, czemu, ale oczami wyobraźni widzę Kubę S. w takim odzieniu). Wszystkie dziewczynki właśnie siedzą nad splecionymi chałkami. To zadanie nie lada, ale na szczęście panie Magda i Paulina zawsze są pod ręką i pomogły w trudnej sztuce splatania chałkowego warkocza. Chałki są kształtne, pierwszej jakości. Za moment na stół wjeżdża talerzyk z rozbitymi surowymi jajkami. Najpierw zanurzanie dłoni w jajku, a potem smarowanie wierzchu chałek. Ale zabawa! Robota idzie pięknie. Języki na wierzchu i świecące oczy tylko dowodzą, ile trudu dzieci wkładają w pracę. Już gotowe. Jeszcze tylko dwie metalowe blachy. Na nich pani Magda układa chałki. Za chwilę będą w piecu. Chałki wyrosną na pewno. Teraz trzeba porządnie umyć ręce. Kilka minut mija i wszyscy znajdujemy się w Sali grupy najmłodszej. Przybywa gość, pan Szabat. Opowiada historię, jak to pewien człowiek chciał rozwieść się z żoną, która nie umiała wypiekać chałek. Na szczęście dzięki swej mądrości przekonała męża, że i bez tego można żyć. Pokochał ją jeszcze bardziej.

Naszym dziewczynkom z grupy najmłodszej złość męża z tego powodu nie grozi. Ich chałki to mistrzostwo świata!

Jan Rożek

WIELKIE BRAWA, 2:2 DLA KADRY!

Przed meczem Kuba Staszewski zapowiedział, że padnie remis. A to dlatego, że zawsze wygrywała drużyna, w której grał on, a jako że w tym roku nie znalazł się w składzie żadnego teamu, wynik musiał być nierozstrzygnięty. I rzeczywiście, tak się stało.

Tego roku umyślnie do Wisły nie wziąłem sprzętu sportowego z powodu niedawnego gipsu na rękę i operacji nosa, ale gdy tylko zobaczyłem piłkę i tłum fanów na widowni, nie mogłem się powstrzymać. Magia stadionu działa. Stałem w bramce.

Jak tylko pamiętam, kadra zawsze dostawała od uczestników solidne lanie. Ten rok miał pokazać zapowiadaną cudowną odmianę kadrowiczów.

Jak zwykle, funkcję sędziego pełnił Mikołaj. To jeden z niewielu arbitrow nie skażonych korupcją w polskim futbolu, sędziował obiektywnie, nie dostrzegał symulowanych fauli, nie słuchał narzekań graczy niezadowolonych z jego werdyktów.

Spotkanie zaczęło się od przewagi kadry. Stałem sobie więc w bramce raczej bezczynny. Gdy zobaczyłem w przeciwnej bramce Tadzia, byłem pewien, że grad bramek to tylko kwestia czasu. Niestety dla nas, broniliśmy pewnie i skutecznie. Ataki kadry dały efekt. Rabin Simons wykorzystał okazję i prowadziliśmy 1:0. Radość nasza nie trwała długo, uczestnicy szybko wyrównali. Stałem sobie w bramce i podziwiałem grę naszych obozowiczów. Niezła zabawa. Zdarzało się bowiem, że zawodnicy miast kopnąć piłkę wykonywali jakieś dziwne figury baletowe, zawijasy, czasem piłka leciała w kierunku zupełnie niepożądanym. Najlepszą techniką popisywali się Roni i Michał. Mnie jednak wszyscy zaimponowali zaangażowaniem. Takiej ambicji tylko można nam pozazdrościć. Bo czyż to nie piękny widok, jak rabin Gluck skutecznie interweniuje w... białej koszuli i ogromniastym kapeluszu, a wspomniany Tadzio pada na asfalt i zdiera sobie skórę, by



po chwili walczyć dalej? Zmiany piłkarzy szły jak krew z nosa, bo każdy chciał grać. Kibice spaniale dopingowali swych ulubieńców. To dla nich wspaniale bronilem w nawet beznadziejnych sytuacjach. W drugiej połowie padły jeszcze dwa gole – i tak oto spotkanie dobiegło końca w regulaminowym czasie gry. Dogrywka nie przyniosła rozstrzygnięcia i spotkanie zakończyło się zasłużonym remisem. Który zresztą dla kadry po tylu sromotnych porażkach jest sporym sukcesem. Po remisie czas na zwycięstwo. Za rok kadra Wam pokaże, kto rządzi w polskiej piłce.

PAN SZABAT

JEDYNY TAKI GRILL!



Mam prośbę do tych, którzy byli na naszym tradycyjnym obozowym grillu: nikomu nie mówcie, co tam się działo, bo to przechodzi ludzkie pojęcie. Mamy szczęście, że nie widział tego nikt z jakiegoś kolorowego brukowca – miałby bowiem temat na stronę tytułową.

Niby zaczęło się normalnie. Na boku ekran, na którym płasa w eleganckim garniturze mój ulubiony Yaakov Schwekey. Baruch uwija się przy komputerze i próbuje ogarnąć poplątane kable. Dzieci tłumnie skupione wokół Tomka Krakowskiego działającego przy maszynie do waty cukrowej. Szkoda, że porcje waty wychodzą tak małe, ale to nic. Przy stołach nasi drodzy obozowicze wchłaniają pieczone paróweczki i kurczaki. Piwo leje się strumieniami. Od razu widać, że kryzys ogólnoswiatowy ominął nas szerokim łukiem. Gdzieś w rogu widzę Darka, który nie może prawie nic jeść – narzeczona mu zabroniła. Ma chłopak pecha. A potem, jak zwykle, śpiewy i tańce. Kółeczko tańczących powoli rośnie. Publika klaszcze, a Dorota jest szczęśliwa, bo chce, byśmy dobrze się bawili. Po 10 minutach czas na wyróżnienia dla piłkarzy. Tę część prowadzi Mikołaj, urodzony konferansjer i – jak się potem okaże - pieśniarz. Każdy dostaje pamiątkowy dyplom. Dla jednego zawodnika dyplomu zabrakło, na szczęście na posterunku jest Agnieszka i szybko dyplom swymi eleganckimi literkami wypisuje. Wyróżnienia w postaci medali otrzymują Yossi za piękną grę w języku niemieckim, rabin Simons za tytuł króla strzelców oraz rabin Gluck – medal-nagrodę publiczności.

No i właśnie w czasie dekorowania piłkarzy wszystko niepostrzeżenie zaczęło się wymykać spod kontroli. Najpierw bowiem nasi mili sportowcy odśpiewali „We are the Champions”, następnie „Polska, biało-czerwoni”. Ktoś nieśmiało próbował zaintonować coraz popularniejszy hit polskich stadionów „Polacy, nic się nie stało”. Atmosfera ludowego festynu zaczęła udzielać się wszystkim. Jeszcze tylko 2-3 niguny i wtedy się zaczęło. Dokładnie wiem, który to moment. Wedle mnie sprawcą całego zamieszania okazał się Tomek Krakowski, któremu zachciało się śpiewać „Hej, sokoły”. Jak się okazało, publiczność nie była obojętna i śpiew podchwyciła. Potem wszystko potoczyło się w tempie lawinowym. Biesiadne pieśni szły jedna po drugiej. Do mikrofonu dopadł Yossi i odśpiewał kilka znanych szlagierów w języku naszego niegdyś bratniego narodu. Jak się okazało, wiele lat nauki rosyjskiego zrobiło swoje. Oczy błyszczały nam ze szczęścia i nostalgii za starymi, dobrymi czasami. Yossi w roli showmana czuje się jak ryba w wodzie, widać, że publika go uwielbia. Chór lauderowców jest wniebowzięty. Yossi skończył i mikrofon przejął rabin Pash. Trochę mnie zszokował, okazało się bowiem, że polski folk nie jest mu obcy! Zna pieśni, których ja sam nie potrafiłbym zaśpiewać. Dobry z niego wodzirej. Następnie dwar Tora rabina Glucka i rabina Simonsa. Szczególnie tak druga opowieść o jego zeszłorocznym meczu była wzruszająca, niestety chusteczki nie miałem pod ręką i oczy otarłem rękawem. Potem już tylko krok do tradycyjnych piosenek w jidysz. Na

szczęście zawczasu przygotowane teksty okazały się przydatne. Tu śpiew zdominowały panie Halina i Zosia, włączyli się swymi donośnymi głosami Mikołaj i Jurek. Zabawa była przednia. Opętańcze tańce, okrzyki szczęścia i wiwaty słyhać było zapewne w całej Wiśle. Było fantastycznie. Integracja w pełnym tego słowa znaczeniu.

Drodzy Decydenci, po nam wieczorki zapoznawcze? Czy nie lepiej dać nam beczkę piwa, pieczone kurczaki i zapewnić dobrego wodzireja, który pośpiewa z nami piosenki biesiadne? Od razu widać, czego nam trzeba...

M.

Przyznajmy szczerze, rabin Yoel Smith z berlińskiej jesziwy zrobił na nas spore wrażenie. Jego wykłady były niezwykle jasne, miały przemyślany porządek i najzwyczajniej w świecie były ciekawe. W dodatku udało się rabinowi Smithowi umiejętnie wciągnąć słuchaczy do ciekawych dyskusji. Nic więc dziwnego, że postanowiliśmy poprosić rabina o kilka słów, które kieruje do nas za pośrednictwem Kuby Staszewskiego:

Oto kilka słów ode mnie i od mojej żony:

Gdy tu przybywaliśmy, Dorota i Baruch witali nas uśmiechem, podobnie gdy stąd wyjeżdżaliśmy - uśmiechem nas żegnali. Tak samo było przez cały czas obozu. Panowała tu atmosfera radości, duchowości, spokoju, nasze dzieci czuły przyjazną atmosferę. Od rana aż do późnej nocy program obozu obfitował w pokarm dla duszy i dla ciała dla uczestników we wszystkich przedziałach wiekowych i na różnym poziomie duchowości.

Magdo, dziękujemy Tobie! Brocha i Nechama spędziły tu wspaniałe chwile i wykonały mnóstwo ciekawych projektów plastycznych!

Madrichowie, stworzyliście radosną i pełną życia atmosferę!

Dostrzegamy, ile pracy i wysiłku włożyliście, żeby wszystko szło gładko, a uczestnicy mieli poczucie komfortu.

Rabinie Matti i rebecyn Hadasso, Wasza ciężka praca wykonana w tle w rzeczywistości była bardzo widoczna!

Dziękujemy maszgijachom i kadrze kuchni – dzięki Wam mieliśmy poczucie zaspokojenia głodu!

Nasza rodzina miała poczucie, że ktoś o nas osobiście dba – i mamy pewność, że wszyscy czuli się podobnie, nie tylko my.

Gdzie jesteśmy?

SEASIDE HIGHWAY	
Sandy Beach	5
Bill's Lagoon	9
Sandstone Cliffs	22
Golden Blue Beach	45

Wiśła Malinka, hotel Vestina:

- Kotel, Jerozolima: 2406 km
- Synagoga Nożyków w Warszawie: 324 km
- Dom modlitwy Żydów gruzińskich w Warszawie: 320 km
- Synagoga Remu w Krakowie: 87 km
- Jesziwa Beis Zion, Berlin: 504 km
- Dom r. Glucka w Londynie: 1355 km
- Klub Fundacji Laudera w Łodzi: 241 km